

**MARTA
GUZOWSKA** **ROK
SZCZURA**

MARTA
GUZOWSKA **ROK**
SZCZURA



[Kup książkę](#)

CZĘŚĆ PIERWSZA

NORA

TERAZ

Pogoda jest piękna, jak nie w lutym. Na pogrzebach zazwyczaj panuje mróz. A jak nie mróz, to leje, a jak nie leje, to przynajmniej wieje wiatr, aż żałobnicy muszą się trzymać nagrobków. A jeśli nie wiatr, deszcz i śnieg po kolana, to upał, taki, że nieutuleni w żalu rozglądają się, kto pierwszy padnie na serce i – w związku z tym – czyj pogrzeb będzie następny.

Ale nie dzisiaj. Dzisiaj niebo jest bezchmurne i świeci słońce, a temperatura dochodzi do jakichś piętnastu stopni, więc wszyscy dobrze wyglądają w odświeżonych, czarnych ubraniach. Nawet ja, chociaż mój garnitur ma już ponad dwadzieścia lat, kupiłem go na obronę magisterki. Ale chyba powinienem spojrzeć na to z dobrej strony, na przykład: nie każdy ma taką figurę, że może nosić własny, ponaddwudziestoletni garnitur. Żadne z was nie wcisnęłoby się w ubrania z tamtych czasów. Niewielka pociecha, ale zawsze.

Więc na cmentarzu wszyscy wyglądają dobrze, chociaż najlepiej oczywiście ty. Zawsze wyglądasz najlepiej, w każdej sytuacji i w każdym gronie, od kiedy cię znam, od ponad dwudziestu lat, więc pewnie zdążyłaś się już do tego przyzwyczaić. Jesteś niewysoka i okrągła, ale tak w sam raz, masz jaskrawozielone oczy i jaskraworude włosy. Oczywiście wyglądają, jakbyś używała soczewek koloryzujących, ale

znałem cię jeszcze w czasach, kiedy takie rzeczy ciężko było dostać, więc wiem, że kolor jest prawdziwy. Kolor włosów też jest prawdziwy, a przynajmniej był taki dwadzieścia parę lat temu, kiedy się poznaliśmy. Od tego czasu pewnie trochę mu pomogłaś, ale efekt i tak jest olśniewający. Jesteś jedyną osobą na cmentarzu, która w całej tej żałobnej czerni wygląda sztywnie.

Bo wszyscy inni wyglądają raczej ponuro. Sobie przyjrzałem się w lustrze przed wyjściem i nie mam powodu, żeby się nad tym zastanawiać. Ale pozostałych nie widziałem od lat, więc zamiast słuchać tego, co mówi ksiądz, albo przynajmniej udawać, że słucham, gapię się na nich całkiem otwarcie. Zoja nabrała ciała, ale nie wygląda na taką, która się przejmuje. Płaszcz ma rozpięty i widzę, że dekolt jej czarnej sukienki sięga prawie mostka i wyraźnie pokazuje, że tusza ma swoje zalety. Poza tym Zoja farbuje teraz włosy na biało (kiedyś była mysią blondynką) i stawia je na sztorc, nosi awangardowe okulary i maluje usta czerwoną szminką. Wygląda na przeżytą pogrzebem, ale już dwa razy wyciągnęła z kieszeni telefon i raz szybko odpisała na wiadomość. Kiedy widzi, że się jej przyglądam, uśmiecha się do mnie radośnie. A potem przypomina sobie, gdzie jest i poważnieje.

Karolka wygląda w zasadzie tak samo jak kiedyś. Nosi włosy upięte w kok, proste czarne spodnie i czarną marynarkę. Jest ucieleśnieniem idealnej pracownicy korporacji albo banku w dziale obsługi klienta. Co chwilę patrzy na zegarek i zaciska przy tym usta w wąską kreskę. Kiedyś też to robiła, jedno i drugie.

Za to Radzia bym nie poznał, nawet gdybym się z nim zderzył na ulicy. Co prawda jest czerwony na twarzy, jakby już z rana wypił kilka kolejek, zawsze tak miał, kiedy

się wzruszył, i bez alkoholu. Ale kiedyś nosił to, co my wszyscy, czyli to, co aktualnie udało się dostać. Teraz ma na sobie garnitur bez przesady za parę tysiąków, koszulę za równowartość mojej pensji i krawat w cenie co najmniej butów, które miałem na nogach (a z okazji pogrzebu szarpnąłem się na nowe). To on rozpoznał mnie pierwszy i podszedł się przywitać, zanim odezwał się ksiądz.

No i jest jeszcze Jan. On jeden wtedy, dwadzieścia parę lat temu, nie dorobił się ksywki. Żadna do niego nie pasowała. Fizycznie się nie zmienił. Kiedyś był wysokim, zwalistym, świńskim blondynem, z tendencją do posiadania brzucha. Teraz brzuch już ma, a co do włosów to trudno z odległości stwierdzić, czy są jasnoblonde, czy siwe. Ma głębokie zakola, tonsurę i garbi się. Stoi trochę z boku, z pochyloną głową i w skupieniu słucha modlitwy. Gdybym nie wiedział, pomyślałbym, że to jakiś uprzejmy, ale daleki krewny, a nie mąż zmarłej.

Brakuje Jacentego. Rozglądam się, ale nie widzę go wśród tych kilku osób, które przyszły pożegnać Irenę. A może widzę, tylko nie rozpoznaję?

Wije lekki wiatr. Bezlistne jeszcze gałęzie cmentarnych topoli pocierają o siebie i skrzypią jak zawiasy drzwi w nawiedzonym domu. Jeszcze za wcześnie na alergeny w powietrzu, ale kilka osób pociera nosy i czerwone oczy. Więc to nie alergia, tylko żal po zmarłej. Chociaż jakoś trudno mi to sobie wyobrazić.

Ty też wycierasz nos i dwie łzy, które wypływają spod twoich przeciwsłonecznych okularów. Nie mogę oderwać od ciebie wzroku.

– Nie gap się! – syczy Karolka. – Mógłbyś się opanować przynajmniej na cmentarzu.

– Nie wiem, o co ci chodzi – odpowiadam szeptem.

Karolka spogląda na mnie i więcej się nie odzywa. A ja aż do końca pogrzebu nie spuszczam oczu z księdza.

Kiedy jest już po wszystkim, do Jana ustawia się kolejka z kondolencjami. Odchodzę na bok, do cienia, bo zaczyna się robić gorąco. Globalne ocieplenie, pełnia wiosny w lutym. Radzio też podchodzi bliżej, a chwilę po nim Karolka i Zoja. Ostatnia, jak zawsze, jesteś ty. Stoimy tak i staramy się na siebie nie patrzeć. Nikt się nie odzywa.

Kolejka z kondolencjami jest krótka i składa się z samych dorosłych. W zasięgu wzroku nie ma żadnych dzieci, z czego wnioskuję, że Jan i Irena też ich nie mają. Ale mogę się mylić, powodów, dla których mogłyby być nieobecne na pogrzebie matki, są tysiące.

Zoja znowu odpisuje na wiadomość, nie przejmując się tym, że jest na cmentarzu chwilę po pogrzebie. Zagryza wargi i czerwona szminka trochę jej się rozmazuje. Radzio też wyjmując z kieszeni telefon i odchodzi do sąsiedniego nagrobka. Przez chwilę podsłuchuję jego rozmowę, ale nic z niej nie rozumiem. Karolka mierzy Radzia ostrym spojrzeniem, ale Radzio chyba tego nie widzi. Stoi odwrócony do nas bokiem i rozmawiając, gestykuluje.

Podchodzisz do mnie bliżej. Przetykam ślinę.

– To niesamowite, że wszyscy... – zaczynasz, ale nie kończysz. Bo przy twoim boku materializuje się Jan. Nie zauważyłem, kiedy podszedł. Problem w tym, że kiedy stoisz obok mnie, nie zauważam wielu rzeczy.

– Co wy tu robicie? – pyta Jan. Żadnego „dzień dobry” albo „fajnie was zobaczyć po tylu latach”.

Odwracasz się i zadzierasza głowę. Sięgasz mu do ramienia. Czuję ukłucie w piersi. Kiedy rozmawiasz ze mną, nie musisz patrzeć do góry.